

## KONIE W NIEBEZPIECZEŃSTWIE

JANÓW PODLASKI, POLSKA, MAJ 1944

Wiosną 1944 roku, gdy Podhajsky starał się ocalić swoje ogiery w okupowanym Wiedniu, front zbliżał się coraz bardziej do zarządzanej przez Niemców stadniny koni w Janowie Podlaskim. Jeszcze raz, ze względu na swoje położenie, zaledwie kilkanaście kilometrów od Rosji, stadnina znalazła się w bezpośrednim sąsiedztwie pola walki. Ruch oporu we wschodniej części Polski prowadził skuteczną dywersję – wysadzanie pociągów paraliżowało niemiecki transport. Ze wschodu nacierała Armia Czerwona. W stadninie trwało pełne napięcia oczekiwanie. Jej bezpieczeństwo zależało od decyzji okupantów. Z początkiem maja nadeszły rozkazy Gustava Raua. Dziewięć najcenniejszych arabsów miało być przewiezionych do Hostau, dokąd Rau strategicznymi posunięciami szachisty kierował najbardziej obiecujące konie. Wśród wybranych znajdował się Witeź – najwartościowszy ze wszystkich młodych ogierów.

Do stajni z wysoką wieżą zegarową wszedł strapiony Jan Ziniewicz, jeden z najbardziej ofiarnych janowskich masztalerzy. Powolnym, ciężkim krokiem mijał kolejne boksy, przemawiając łagodnie do każdego konia. Witeź, polski książę, przywitał go delikatnym poszturchiwaniem. Ziniewicz nałożył czterolatкови uzdę, a potem czule pogłodził go po pysku, przesuując palcem po charakterystycznej białej plamce. Delikatne nozdrza drgnęły, koń wyciągnął głowę i swoimi małymi uszami połaskotał dłoń opiekuna. Ziniewicz mierzył niewiele ponad metr pięćdziesiąt, miał pomarszczoną, ogorzałą twarz człowieka, który większą część życia spędził na świeżym powietrzu. Jego łagodne, ciepłe usposobienie sprawiało, że wszystkie konie darzyły go zaufaniem. Witeź nie był wyjątkiem. Widząc, że nie ma innego wyboru jak tylko podporządkować się niemieckim rozkazom, Ziniewicz przypiął długą linkę do mosiężnego kółka przy uprzęży, a ogier chętnie dał się wyprowadzić na zewnątrz. Dzisiaj Witeź miał wyjechać pociągiem do Czechosłowacji.

Na peronie w pobliskim miasteczku masztalerze otoczyli kołem cennych podopiecznych, czekających na swoją kolej, by wejść do wagonu. Każdy arab miał na grzbiecie miękką derkę, na nogach bawełniane ochraniacze starannie umocowane flanelową owijką. Wnętrze wagonu było miękko wyściełane, aby drogocenne konie mogły podróżować bezpiecznie. Dziewięć wybranych arabsów jeden za drugim wprowadzano na rampę. Ziniewicz został wyznaczony do pilnowania koni podczas jazdy. Jedną z młodych pracownic stadniny nie odstępowała Witezia, gdy umieszczano go w wagonie. Zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś go zobaczy. Kiedy pociąg szarpnął i powoli ruszył z miejsca, wyszeptała: „Do widzenia, Witeziu, jedź z Bogiem”. Lokomotywa zagwizdała dwukrotnie i Witeź odjechał w stronę Pragi, nie wiedząc, że na zawsze opuszcza swoją ojczyznę.

Ziniewicz opiekował się Witeziem w czasie dziewięciodniowej podróży na zachód przez Warszawę i Łódź, i dalej na południe w stronę Pragi. Gdy wreszcie dotarli do Hostau, dostrzegł znajome twarze ludzi, których spotykał w Polsce – kierownik stadniny Rudofsky i sympatyczny młody weterynarz Lessing często gościli w Janowie. Była to jednak tylko słaba pociecha: Ziniewicz musiał szybko pożegnać się z końmi i wypełniając rozkazy, wracać do Janowa, pozostawiając polski skarb na obcej ziemi. Po powrocie tęsknił za pięknym koniem z błyszczącymi oczami i szlachetnym czołem, na którym widniała nieregularna biała gwiazdka. Polscy pracownicy stadniny wprost nie

mogli uwierzyć, że najcenniejsze konie wymknęły im się z rąk. Choć sytuacja w Polsce stawała się coraz groźniejsza, chcieli chronić i pielęgnować swoich ukochanych podopiecznych we własnej ojczyźnie. Witeź był daleko, w obcym kraju kontrolowanym przez Niemców. Nikt nie wiedział, czy kiedykolwiek uda mu się powrócić. Z trzech wspaniałych synów Ofira urodzonych w 1938 roku pozostało już tylko dwóch – Witraż i Wielki Szlem.

Witeziowi w Hostau wiodło się dobrze. Siana i zboża nie brakowało, stajnie były przestronne i wygodne. Witeź i jego towarzysze, choć z dala od Polski, mieli troskliwą opiekę i nie groziło im już bezpośrednio niebezpieczeństwo. Reszta z tysięcy drogocennych koni Raua, rozproszonych na rozległym terytorium Polski i Ukrainy, między innymi stado pozostawione w Janowie, znajdowała się wprost na drodze nadciągającego tsunami wydarzeń wojennych. Stadniny Raua leżały na szlaku Armii Czerwonej, która przez Ukrainę i Białoruś dotarła do wschodniej Polski i w dalszym marszu na zachód wypierała wojska niemieckie z okupowanych terenów. Front przetoczył się już przez Dębicę z nowo utworzoną stadniną lipicanów, z której konie udało się zawczasu ewakuować. W całym imperium Raua zaniepokojeni pracownicy stadnin czekali na instrukcje i zastanawiali się, co robić. W Drogomyślu, na wschodnim brzegu Wisły w pobliżu granicy z Czechosłowacją, zarządca tamtejszej stacji ogierów nazwiskiem Brandt przyuczał żonę i dzieci do siodłania ogierów i ładowania wozów na wypadek alarmu. Gdy nadejdą Rosjanie – tłumaczył rodzinie – trzeba będzie przeprowadzić konie na drugą stronę rzeki, przechodząc w bród, jeżeli mosty zostaną wysadzone. Musieliby przedostać się do Hostau, czterysta kilometrów na zachód.

Tymczasem w Janowie Podlaskim ciągle czekano na rozkazy okupanta. Pomiędzy oddziałami Wehrmachtu a partyzantami, działającymi na tym terenie, często dochodziło do potyczek. W maju 1944 roku na Janów spadła niemiecka bomba, która częściowo zniszczyła jedną ze stajni ogierów. Na szczęście konie przebywały na pastwisku i żaden nie ucierpiał. Zaledwie pięć lat po spustoszeniach poczynionych przez Rosjan pracownicy janowskiej stadniny patrzyli w oszołomieniu na dymiące ruiny niedawno odbudowanego budynku.

Pod koniec czerwca Rau zapowiedział wreszcie ewakuację całej stadniny. Tym razem przynajmniej zorganizowano koniom transport. Rau postarał się o przewiezienie ich pociągiem do Sohland, miasteczka położonego na terenie Niemiec, kilkaset kilometrów na zachód. Udało mu się nakłonić emerytowanego kawalerzystę, pułkownika von Bonneta, aby udostępnił swoją stadninę uchodźcom i przejął odpowiedzialność za konie. Przy odrobinie szczęścia mogłyby tam przetrwać do końca wojny bez przenoszenia w inne miejsce. Nawet w wagonach kolejowych czekała je jednak niebezpieczna podróż. W pobliżu Janowa intensywnie działali polscy partyzanci, którzy mogliby próbować wysadzić pociągi z uciekinierami.

Późną nocą w domowym zaciszu Andrzej Krzyształowicz z żoną niespokojnie zastanawiali się nad przyszłością. Nie chcieli narażać córeczki na niebezpieczeństwa podróży, a kierując się na zachód, zmierzaliby wprost w paszczę wroga. Perspektywa znalezienia się w rękach Rosjan budziła jednak nie mniejsze obawy. Hans Fellgiebel, od 1940 roku niemiecki dyrektor janowskiej stadniny, był w dobrych stosunkach z jej pracownikami. Chronił wielu zatrudnionych tam rzemieślników, takich jak podkuwacze czy siodlarze. Mimo niemieckiego munduru zasługiwał na zaufanie, gdy chodziło o konie. Ostatecznie Krzyształowicz w porozumieniu z żoną zdecydował, że nie wolno mu opuścić koni. Powierzono mu przecież strzeżenie polskiego skarbu narodowego – zwłaszcza że Stanisław Pohoski, były dyrektor janowskiej stadniny, niespodziewanie zachorował i wkrótce zmarł. Krzyształowicz zajmował teraz najwyższe stanowisko wśród Polaków zatrudnionych w Janowie.

Pierwszego lipca dziewięćdziesiąt sześć koni, które przebywały jeszcze w Janowie, załadowano do wagonów kolejowych. Dwaj przyrodni bracia Witezia, Witraż i Wielki Szlem, tanecznym krokiem pokonali kładkę i drzwi za nimi zostały zaryglowane. Wzdłuż torów jechały ciężarówki wyładowane workami z piaskiem, które miały chronić pociągi z uciekinierami przed ostrzałem. Mimo wielkiego ryzyka konie bez przeszkód opuściły Janów.

Dziewiętnaście dni później wyjechała z Janowa kolejna partia koni, również wysyłana do Niemiec. Nazajutrz, 20 lipca 1944 roku, doszło w Trzeciej Rzeszy do dramatycznego wydarzenia, które wywarło ogromny wpływ na losy ludzi i koni ewakuowanych z Janowa. Grupa konspiratorów podjęła próbę zamachu na Hitlera w jego bunkrze Wilczy Szaniec w Prusach Wschodnich. Celem spisku było przejęcie kontroli nad rządem i wynegocjowanie z aliantami korzystniejszych warunków kapitulacji. Bomba eksplodowała, ale ze względu na to, że umieszczono ją w nieco innym miejscu, niż zaplanowano, Hitler odniósł tylko drobne obrażenia.

Spisek 20 lipca miał bezpośredni związek z janowską stadniną. Jednym z konspiratorów był brat Hansa Fellgiebla, Erich, którego natychmiast schwytano i stracono. Po kilku dniach aresztowano Hansa i osadzono go w berlińskim więzieniu.

Choć imperium Raua wyślizgiwało mu się z rąk, usiłował zachować nad nim kontrolę. Konie wysłane do Sohland znalazły się poza zasięgiem bezpośredniego zagrożenia, ale nie wszystko układało się pomyślnie. Przepiękne araby cierpiały w udostępnionych stajniach z powodu ciasnoty, braku obsługi i niedoborów wysokowartościowej paszy. Na domiar złego von Bonnetta nęcano codziennie żądaniem zwolnienia pracowników stadniny do służby wojskowej, choć i tak było ich za mało w stosunku do liczby koni. Warunki ciągle się pogarszały. W styczniu 1945 roku w majątku von Bonnetta pojawiło się kilkaset koni w opłakanym stanie, przyprowadzonych przez grupę masztalerzy i stajennych, którzy błagali o schronienie. Przebyli setki kilometrów przez lody i śniegi, opuściwszy dwie stadniny Raua położone w centralnej Polsce, w Bogusławicach i Kozienicach. Konie przebywały słoczone w stajniach razem z braćmi Witezia.

Sytuacja stawała się nie do zniesienia. Pułkownik von Bonnet nie był w stanie zaspokoić wszystkich potrzeb – ludzi wystarczało zaledwie do opieki nad arabami, a miejsca i paszy było coraz mniej. Krzyształowicz i Ziniewicz za wszelką cenę starali się pomóc, lecz posiadłość von Bonnetta została wyeksploatowana do granic możliwości. Zbyt wiele koni słoczono w jednym miejscu. Jeszcze przed dwunastoma miesiącami były to najlepiej utrzymane konie w całej Europie, teraz wyglądały żałośnie – upchnięte w ciasnych stajniach, z zaniedbanymi kopytami i matową sierścią, chorujące na zakażenia dróg oddechowych. Przypominały raczej zwierzęta przeznaczone na rzeź niż końską arystokrację.

Wreszcie pojawił się Gustav Rau, aby zaprowadzić w Sohland porządek. Zdecydował się zmniejszyć stado, pozostawiając tylko najcenniejsze konie. Te w najgorszym stanie zdawały się odprowadzać Raua błagalnym spojrzeniem, kiedy obchodził stajnie. Krzyształowicz i Ziniewicz troszczyli się o braci Witezia, czesząc im sierść do połysku i podsuwając dodatkowe porcje ziarna. Dlatego w godnej pożałowania gromadzie wyglądali lepiej niż większość innych.

Po przeprowadzeniu surowej selekcji tylko konie wybrane przez Raua mogły pozostać w majątku von Bonnetta. Te, które odrzucono, miały być rozdane miejscowej ludności. Kiedy przypadkowa gromada gospodarzy i szeregowych żołnierzy wyprowadzała wspaniałe niegdyś araby, Gustav Rau raczył wyjaśnić nowym właścicielom, że konie „zostaną przekazane w formie pożyczki walczącym na froncie i zwrócone po wojnie”. Jeden po drugim drogocenne polskie konie oddalały się wiejską drogą, aby w końcu zniknąć z pola widzenia. Żaden z nich nie wrócił już do kraju. Raz jeszcze dwaj ludzie z Janowa mogli tylko bezradnie patrzeć, jak topnieje polskie stado arabów czystej krwi.

W lutym 1945 roku, sześć miesięcy po ucieczce z Janowa, stało się jasne, że Sohland przestało być bezpiecznym miejscem. Mimo niedoboru personelu i słabej kondycji koni nie pozostawało nic innego jak ruszyć dalej na zachód. Tym razem celem była wielka stadnina remontów dla wojska w Torgau, oddalona o około sto czterdzieści kilometrów. Pociągi okazały się już nieosiągalne, więc podobnie jak pięć lat wcześniej ludzie i konie mieli przed sobą długi marsz, tym razem w przeciwnym kierunku. Planowano dotrzeć najpierw do Drezna, pokonując dwadzieścia pięć kilometrów dziennie z przerwą na jedną noc, i po kilku dniach odpoczynku powędrować dalej do Torgau. Ogiery miały iść na początku. W ślad za nimi Krzyształowicz zamierzał poprowadzić najbardziej wymagającą grupę –

klacze ze źrebiętami.

W drodze wąskimi drogami wśród wzgórz towarzyszył im lodowaty deszcz, który przemacał wełniane płaszcze i końskie derki, a na ziemi zamarzał w podstępny gołoledź. Wiatr przenikał na wskroś przemokniętą odzież, końskie grzywy i zmatowiałą gęstą zimową sierść. Żrebnie klacze brnęły naprzód ciężkim krokiem ze zwieszonymi łbami i pustym spojrzeniem. Krzyształowicz z niepokojem przyglądał się przyszłym matkom – im przede wszystkim mogły zaszkodzić ciężkie warunki. Niebawem najgorsze przecucia stały się faktem – pod wpływem stresu doszło do kilku przedwczesnych porodów. Noworodki nie nadążały za stadem. Mężczyźni dobijali się do domów, próbując zarekwirować wozy do przetransportowania najmłodszych źrebiąt, ale w spustoszonej okolicy znalezienie jakiegokolwiek podwoju było prawie niemożliwe. W tym czasie miliony ludzi z okupowanych przez Niemców obszarów na Wschodzie próbowały uciekać przed zbliżającą się Armią Czerwoną. Wozy, samochody osobowe, ciężarówki, benzyna – wszystko to było na wagę złota. Większość przejęła armia, a resztę wykorzystywali uchodźcy.

W dniach powszechnej niedoli nikt nie miał litości dla sponiewieranej grupy koni i ludzi z Polski. Krzyształowicz tulił w ramionach chwiejące się na nogach noworodki, okrywał je swoim płaszczem i patrzył bezradnie w ich gasnące oczy. Nie było jednak innego wyboru jak iść dalej.

Kiedy nadszedł wieczór po pierwszym wyczerpującym dniu, nie mogli nigdzie znaleźć schronienia. Pukali do drzwi i prosili gospodarzy o użyczenie pustych pastwisk, ale nikt ich nie chciał przyjąć. W końcu von Bonnet i Krzyształowicz stwierdzili, że nie pozostaje im nic innego jak wędrować dalej w ciemnościach, licząc na to, że dotrą do Drezna, zanim nastanie dzień.

Walcząc ze zmęczeniem, poprzedzająca ich grupa z około pięćdziesięcioma ogierami, wśród których znajdowały się Witraz i Wielki Szlem, przebyła w ciągu doby pięćdziesiąt pięć kilometrów. Włączyła się w ponadpółmilionową falę uchodźców zmierzających na zachód, w stronę Drezna, w nadziei, że ze względu na wspaniałą architekturę tego ośrodka kultury i sztuki alianckie naloty zostaną mu oszczędzone. Drezdeńskie dworce były zapchane po brzegi; rozległy park w centrum miasta, Grosser Garten, wypełniały namioty, w których schroniło się prawie dwieście tysięcy uciekinierów; w kierunku miasta ciągnęły niekończące się sznury wozów, furmanek, samochodów osobowych i ciężarówek. Całe rodziny – utrudzone, obdarte i obolałe – wlekły się poboczem dróg, karmiąc w marszu niemowlęta i prowadząc pod rękę starców. W tej masie podążały naprzód janowskie ogiery, aż dotarły do obrzeży Drezna.

Trudno byłoby wybrać gorszą porę. Kiedy konie znalazły się na terenie miasta nocą 13 lutego, drezdeńskie radio nieustannie powtarzało komunikat: „*Achtung! Achtung!* Atak nadchodzi! Kryć się!”. W centrum Drezna ludzie rzucili się do piwnic, ale na obrzeżach, gdzie kłębiły się tłumy uchodźców, a wśród nich grupa z Janowa, większość w ogóle nie usłyszała ostrzeżenia. Zresztą i tak nie byłoby gdzie uciekać. Zielone pociski smugowe, nazywane choinkami, rozbłysły nad miastem. Za chwilę w górze rozległ się przeraźliwy grzmot.

Ogiery zakwiczały z przerażenia, lecz wkrótce wysokie dźwięki zagłuszył nieustający ryk samolotów nad głowami. Jeden ze świadków tych wydarzeń wspominał: „Jakby przesuwiał się nad nami potężny huczący taśmociąg, jednostajny rumor akcentowany wybuchami i wstrząsami”. Niechcący wprowadzono konie wprost w wir jednego z największych ataków lotniczych tej wojny: w dwóch falach, oddzielonych trzygodzinną przerwą, ciężkie bombowce – 722 należące do RAF-u i 525 służące w Siłach Powietrznych Stanów Zjednoczonych – zrzuciły 3900 ton ładunków wybuchowych, powodując burzę ogniową, która zniszczyła większą część centrum miasta.

Całe sklepienie nieba przybrało złowrogi szkarłatny kolor. Kiedy płomienie ogarnęły miasto, horyzont stał się pomarańczowo-biały, a niebo przesłoniła gruba chmura czarnego dymu. Ogiery kwiczały i wyrwały się w panice, usiłując na oślep wydostać się z ogłuszającego huk i żaru. Podobnie jak ludzie, straciły poczucie kierunku, biegały wkoło, biły kopytami i stawały dęba, w ich oczach odbijały się groźnym blaskiem ogniste płomienie przeszywających powietrze eksplozji. Ludzie

i zwierzęta rozbiegli się na wszystkie strony, ale piekielny ogień trafiał wszędzie – nie było przed nim ucieczki.

Jan Ziniewicz, silny i sprawny, lecz ważący zaledwie sześćdziesiąt kilo, za wszelką cenę starał się utrzymać przy sobie powierzone mu dwa ogiery. Rozbłyśki światła ukazywały przerażający obraz – leje i płomienie, ludzi w ogniu, miotające się konie – czemu towarzyszył ów nieustanny przerażający huk, jakby dudniący pociąg towarowy przejeżdżał im nad głowami. Witraż i Wielki Szlem z całych sił szarpały się na uwięzi. W oczach miały przerażenie, nozdrza rozdęte jak skrzela ryby wyrzuconej na ląd. Ziniewicz zaparł się nogami, nie wypuszczając z rąk linek, które boleśnie wpijały mu się w dłonie. Naciągnął je mocniej, owijając kilkakrotnie wokół nadgarstków. Pomimo rękawiczek miał już zdartą skórę, z czoła spływał mu pot, ale zacisnął zęby i się nie poddawał. Błysk ognia i żarzący się płomień na końskiej sierści nieomal go oślepiły – zapalił się ogon Wielkiego Szlema. Nie mogąc go dosięgnąć, Ziniewicz przymknął oczy i wstrzymywał oddech, czekając aż pochłonie ich pożar, lecz płomień zgasł.

Potem przeraźliwy rumor niespodziewanie ucichł. Poza osmalonym ogonem Wielkiego Szlema Ziniewicz i jego dwa konie nie odnieśli obrażeń. Zniknęła gdzieś jednak połowa grupy – dookoła kłębił się tłum krzyczących ludzi, na ziemi leżały zwęglone ciała wśród dymiących lejów po bombach.

Krzyształowicz, prowadzący klacze i źrebięta, pozostawał półtora dnia w tyle. Kiedy jego grupa dotarła na przedmieścia Drezna, natknął się na zwęglone zwłoki siedemnastu swoich ukochanych ogierów i zaszlochał. W końcu udało mu się odnaleźć Jana Ziniewicza z głębokimi ranami od wrzynających się w dłonie linek. Mężczyźni padli sobie w objęcia. Ruszyli razem na poszukiwanie ocalałych.

Grupa zebrała się na przedmieściu Weisser Hirsch, w parku leśnym tuż za granicami miasta, pełnym teraz uchodźców i poszkodowanych koni. Niektóre, wycieńczone i poranione, nie były w stanie iść dalej. Von Bonnet i Krzyształowicz oddali je do lecznicy polowej, znajdującej się również w trakcie ewakuacji, a reszta grupy po zaledwie dwóch dniach odpoczynku ruszyła w stronę ostatecznego celu wędrówki, do oddalonej o około siedemdziesiąt kilometrów na północny zachód stadniny w Torgau, co wymagało jeszcze trzech dni marszu.

Kiedy się tam wreszcie znaleźli, okazało się, że stajnie są przepelnione – nie było nawet jednego wolnego boksu. Ostatecznie schronili się w pustej ujeżdżalni, gdzie utrudzeni ludzie ułożyli się na ziemi u boku swoich podopiecznych.

Następnego dnia pułkownik von Bonnet wrócił do Sohland, aby zorganizować ewakuację reszty koni i personelu ze swojego majątku. Do tej pory czerwonoarmiści byli już tak blisko, że można ich było usłyszeć w oddali. Gdy von Bonnet szykował się do odjazdu, miejscowe władze nazistowskie nakazały mu pozostać i walczyć, bo w przeciwnym razie „postawią go pod mur i rozstrzelają”. Zignorował jednak rozkazy kreisleitera i pośpiesznie opuścił Sohland, mając nadzieję, że uda mu się uratować część koni, których nie zabrano za pierwszym razem. Nigdy jednak nie dotarł do grupy z Janowa. Schwytany przez Rosjan, zmarł w łagrze na czerwonkę.

Pośród stłoczonych i wynędzniałych uciekinierów w Torgau Krzyształowicz i Ziniewicz robili co mogli dla koni, które im jeszcze pozostały. Nie mieli czasu, by rozpaczać z powodu strat, bo każdą chwilę poświęcali ocalałym arabom. W marcu grupa znów wyruszyła w drogę, tym razem pociągiem, aby znaleźć dach nad głową jeszcze bardziej na zachód, w niemieckim Nettlelau, gdzie pozostała do końca wojny. W styczniu 1944 roku wywieziono z Janowa ponad dwieście arabów czystej krwi. Teraz było ich niecałe pięćdziesiąt. Krzyształowicz i Ziniewicz nie mieli pojęcia, jaki los spotkał kilka najcenniejszych, które wysłano do Hostau – mogli tylko żywić nadzieję, że nie stało się im nic złego.